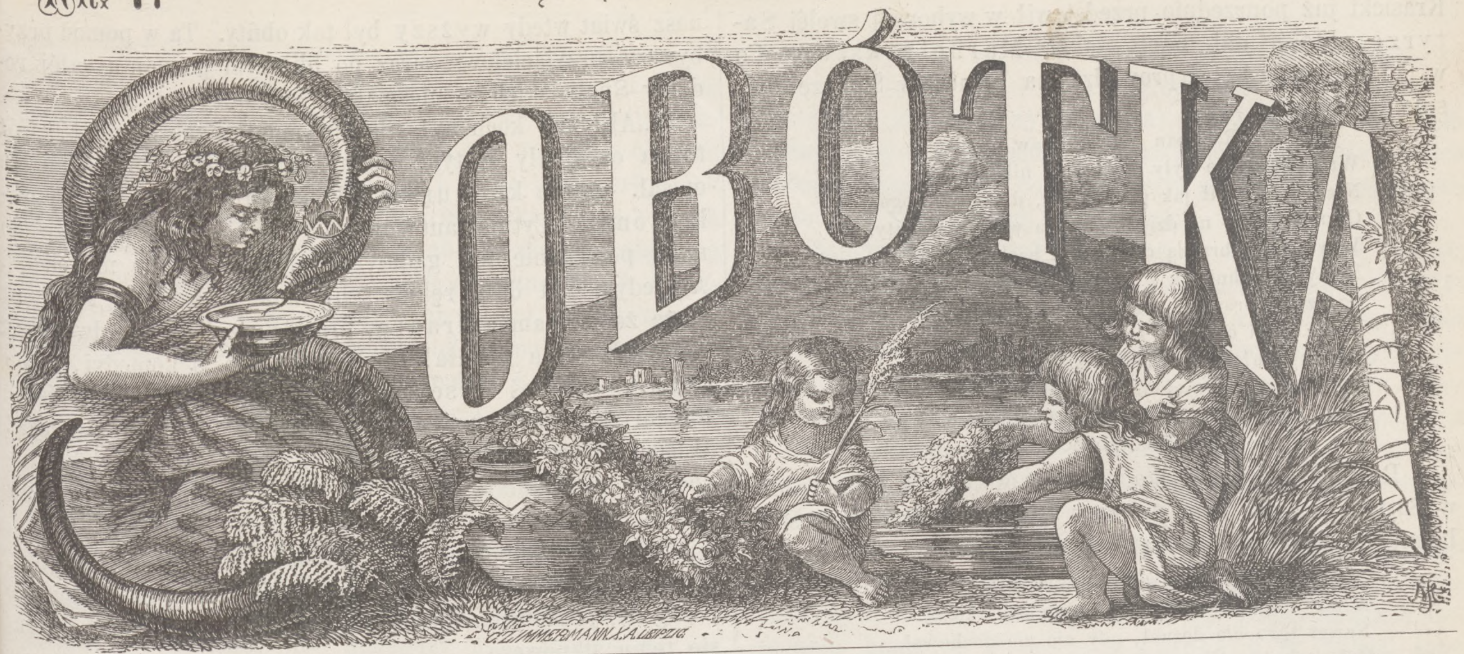
Nr. 7. Poznań, dnia 11. Lutego 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo $1^1/_2$ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

IGNACY KRASICKI

JAKO KOMEDYO-PISARZ.

(Dokończenie.)

Pozostawiliśmy na sam koniec dwie najlepsze komedye Krasickiego: Solenizant w trzech aktach wydana pod nazwiskiem Michała Mowińskiego i Krosienka także w trzech aktach z rękopismu ogłoszona.

Leander dziedzic znacznego majątku po rodzicach, za pobytem w Warszawie, otoczony zgrają darmozjadów i próżniaków, przybywa do dworu swego wraz z niemi i huczne rozpoczyna a wystawne życie. Stary Bartłomiej szafarz, który go wypiastował na swoich rękach, nadaremnie utyskuje na zbytki i nie oględność panicza. A z paniczem przybył jeden jako Marszałek dworu, drugi jako Podskarbi, trzeci Koniuszy, daléj Sekretarz, Kapelmajster, nadwornéj kapeli, Kapitan nadwornéj chorągwi, dwóch Pokojowych, a w końcu pijak i awanturnik jako nieodstępny Leandra towarzysz. Cała ta ćma pasożytów, wypełnia dobrze sceny malujące niepohamowane marnotrawstwo. Czuje to sam młody Pan domu, ale słabego charakteru, chociaż nieraz ze łzą w oku i bolesnym westchnieniem, idzie krok za krokiem jakby pchany nie widzialną ręką ku przepaści, bo swéj ruinie! Właśnie przypada dzień jego imienin, w którym jako solenizant, powinien z całą godnością imienia swego wystapić. A tu troska nie mała, bo dawne po ojcu zapasy wina, już w hulaszczem życiu wysuszono i spiżarnia zasobna po matce stoi pustkami. Wszystko więc spada na starego szafarza, który kocha zawsze swego wychowanka, nad jego losem popłakuje, tém bardziéj, że od niego odbiera dowody dawnego przywiązania.

Największą zgryzotą dla Leandra to, że właśnie ma przybyć pan Cześnik z żoną, o których córkę stara się usilnie, a kochając szczerze, pozyskał jéj wzajemność!

Ale zdala czuwa nad niedoświadczonym marnotrawcą, chociaż w gruncie poczciwym, stryj jego bezdzietny, który uwiadomiony o wszystkiem od Bartłomieja, skupuje wszelkie długi Leandra, przybywa sam w dzień imienia, i zapowiada, że zabiera mu majątek jako swoją własność, zmuszając go do podpisania skryptu, którym zrzeka się dóbr swoich.

Kapitan z nadworną chorągwią daje salwy z ręcznéj broni, nie żałując prochu, dwór cały darmozjadów zbiera się w około niego; przybywa i Cześnik z żoną, a przyjaciel stryja Leandra, który nagle wchodząc, ukazuje skrypt nieszczęsny.

Biedny solenizant patrzy już na grób wszystkich swoich nadziei, kiedy po przeczytaniu tego co podpisał, widzi z rozkoszą i radością, że podpisał własną intercyzę ślubną z ukochaną panną Cześnikówną. Ojciec, gniew pozorny stryja na synowca temi słowy rozbraja, które kończą całą sztukę:

„Nie trzeba o młodych rozpaczać, ale też trzeba umieć ich poprawiać!“ Nieszczęsną skłonność do marnotrastwa

Krasicki już poprzednio przedstawił w wybornéj swojéj Satyrze, któréj dał napis także Marnotrawstwo. Co w Solenizancie wyprowadza na scenę, w Satyrze opisuje wymownie.

„Rad pan wszystkim w domu,
Wrota jego nie były zamknięte nikomu!
Niech zna świat jak pan możny, dzielny i bogaty.
Grzmią bębny na dziedzińcu, na wałach armaty.
Wiwat pan! brzmią ogromnem hasłem okolice,
Dymy z kuchni jak z Etny: a sławne piwnice
Co dziad, pradziad, szacownym napełniał likworem,
Pełne zgrai ochoczej stanęły otworem. —
Wiwat Pan! niech wiekuje szczęśliwy i zdrowy!
Objął sienie, przysionki, zapach dryakwowy:
Wala się, wadzi, wrzeszczy rozpojona tłuszcza,
Pan rad, w domu każdego do siebie przypuszcza.“

Różnicę jednak wielką widzimy w tych obu utworach; w Satyrze stawia nam na oczy Pana Wojciecha, co szalbierstwem zyskawszy majątek:

„Stracił wszystko zbytkiem
A nie długo się ciesząc niecnoty pożytkiem,
Nawet tego nie doznał, gdy nic nie dochował,
Żeby zdrajcę, bankruta, ktośkolwiek żałował.“

A obok niego Pana Konstantyna, który rodzicielskie bogactwa zmarnotrawiwszy, resztki co pozostały, traci za granicą i wraca z niemałą korzyścią:

„Że co panem wyjechał przystojnym i godnym,
Wraca grzecznym filutem i żebrakiem modnym.“

Leander w komedyi jest szlachetniejszą postacią, bo jeżeli pokazał skłonności do marnotrawstwa przez słabość charakteru, zachował zacne przymioty, i daje rękojmię, że będzie dobrym i użytecznym obywatelem w kraju.

Krosienka, komedya w trzech aktach, jest to wyborny obrazek, żywo nam malujący owoczesną społeczność, bo ziemian naszych i elegancye obok dworu żyjącą tamtych czasów.

Zamożni państwo Spokojscy mają dwie córki: starszą Juliannę i młodszą Maryannę. Matka zaślepiona w starszéj, wszystkim jéj kaprysom dogadza, i rządzi się tylko jéj zdaniem: młodszą o rok tylko uważa za dziecko, nie pokazuje ludziom, ciągle zapędzając ją do nauki i Krosienek.

Julianna dwóch ma konkurentów: Przystojnickiego w całym znaczeniu odpowiedniego sobie, bo i dobry gospodarz i obywatel wykształcony, i Wiatrakowskiego ograniczonego umysłowo, utracyusza, zuchwałego w rozmowie i rzucającego największe niedorzeczności w oczy, z szumowin bruku Warszawy, a eleganta w pośród ówczesnéj młodzieży. Ten zwietrzywszy gruby posag panny Julianny, rozpoczął koło niéj zaloty i potrafił sobie zjednać jéj względy.

Przybywa do dworu jéj rodziców w towarzystwie dwóch przyjaciół ze swojéj koteryi. Ci opowiadają o szczęśliwych jego sukcesach jakie ma to u Księżniczki, to Kasztelanki, Wojewodzanki i innych. A panna, gąska parafialna wszystkiemu wierzy, za dobrą przyjmuje monetę, wraz ze swoją potulną matką. Dla lepszego dobicia targu, sprowadza z Warszawy swoją kochankę dawną panią Lubską, jednę z lwic ówczesnych, zarówno lekkich obyczajów, jak doświadczoną w miłosnych wypadkach i usługach, w które nasz świat wtedy wyższy był tak obfity. Ta w pomoc przybywszy przyjacielowi zaraz po bliższym poznaniu całéj rodziny Spokojskich, z niesmakiem się odzywa:

„Ah! mój kochany! gdzieżeś mnie to zaprowadził? Cóż to za oryginały w tym domu! prawdziwie dobrześ mi ich opisał. A ten konkurent klejnot drogi parafiańskiéj galantomii! Cytuje autorów jak bakałarz: dobrze że do mnie po łacinie nie gadał, i śpiewać ze mną nie chciał. A kiedym mu dała rękę, żeby mnie prowadził, rozumiał może że ja mam chiragrę, prawdziwie ledwiem dwa razy w ogrodzie nie upadła! Ja mu gadam o komedyi, a on zaraz w jakoweś dysertacye, co to jest, zkąd to jest? Co mi tam do tego co to jest, dość że na niéj skaczą! Właśnie bym ja po to najmowała lożę, żebym miała słuchać co tam gadają: niech tam sobie gadają co chcą! Ja tam po to żebym widziała, i żeby mnie widziano!“

Ta Lwica bierze w swoją opiekę podstolankę Juliannę i zaczyna od tego, że chce ją uróżować, ale ojciec człowiek rozsądny, jakkolwiek dotąd zawsze potulny dla żony, opiera się temu stanowczo.

Przybywa do niego w odwiedziny dawny przyjaciel i sąsiad ukochany pan Franciszek Rubasiewicz, wyborna postać zapalonego myśliwca. Zaraz po pierwszych słowach przywitania, poznajemy go dobrze gdy tak opowiada swoją przygodę łowiecką.

„Nie wiesz co to mi się stało: nie mogłem się doczekać nim się moja żona wybierze, kazałem więc konia okulbaczyć, i wziąwszy parę chartów na smycz, daléj! Tylkom co za wrota wyjechał aż tu lis, jachajże! Dolot z jednéj strony, Frazia z drugiéj, ja z konia — lis w bok, Frazia tuż, a Dolot w onę, a ja na przełaj! Lis frant Mospanie zapewne już szczwany, kominka! Frazia patrzy, lisa nie masz, a ja — hajże! hajże! Jakże się posunie Frazia gdyby strzała, już téż myślę sobie po lisie. Cóż on Mospanie na to? Jak zacznie kitą merdać to w lewo to w prawo, zbałamucił Frazię, a tymczasem jak się posunie ku krzakom, jak pójdzie po nad krzaki, po za mogiłę, pomiędzy parowy, z oczu nam zniknął. Patrzę źle, wołam, krzyczę. Dolot stanął, Frazia ja nie wiem, czy ją kto w tym punkcie oczarował, siadła na kępinie i nuż wyć! O! jaż jakiem to usłyszał, taka mnie pasya wzięła, żebym jéj był w łeb strzelił! Porzuciłem lisa, daléj do niéj z harapem! Frant w nogi, ja za nią, a tymczasem i Dolota gdzieś kaci wzięli! Frazia uciekła, a ja i lisa nie dostał i konia zmachał na niwecz, i ledwom sobie piersi nie zerwał! Powiadają to panie Jędrzeju na frasunek dobry trunek! Każno przynieść tego zielonkowatego cośmy go pili ostatnią razą!“

Wkrótce nadjeżdża i poczciwa jego małżonka, niewiasta, która ciągle gada, a gdy jéj mąż przerywa, zaklina go, ażeby jéj chociaż raz dał się wygadać.

Ojciec zdrowo patrzący na rzeczy, widzi nierozwagę swéj żony i opuszczenie młodszéj córki Maryanny. Tuli jéj łzy i boleść, i powoli wydobywa tajemnicę, że odrzucony, „dla braku poloru“ przez starszą siostrę. Przyjemnicki nie jest dla niéj obojętnym. Uradowany tym odkryciem, poleca jéj tajemnicę, a sam obmyśla środki jakby się pozbyć natrętnego zalotnika, który głowę za-

wrócił starszéj córce i matce. Los szczęśliwy zdarza, że pani Lubska, nie mogąc uróżować Podstolanki, robi jéj fryzurę wyniosłą, a na papiloty, użyła właśnie listu Wiatrakowskiego, w którym z całą czelnością opisuje w ohydnéj karykaturze tak ojca i matkę jak i córkę ową perłę, jak się wyraził: „w któréj jest zbiór wszystkiego, cokolwiek mieć może najwcześniejszego niezgrabność wiejska, złączona z małpiem naśladownictwem miejskiéj grzeczności.“ A w końcu przechwala się z uzyskanéj wzajemności, i jak schwytawszy gruby posag będzie mógł pięknie po dawnemu szumieć. Otwierają się teraz oczy matce i córce, a ojciec stanowczo młodszą Maryannę oddaje ze wszech miar godnemu zalotnikowi, którym wzgardziła starsza Podstolanka.

Siedm komedyi Krasickiego, nie mało nam dają zajmujących postaci.

Szlachta ziemianie, nieosobliwie przypominają wizerunki po większéj części: bez nauki, ograniczeni w pojęciach, zawojowani przez żony, dają się łatwo wyzyskiwać bezczelnym łgarzom i oszustom, lubo pomiędzy nimi znajdujemy nie małą liczbę zarówno szlachetnych jak i wykształconych ludzi. Równie ciemnym kolorytem powiódł autor i kobiety, przedstawiając albo jako panujące w domu despotycznie, albo doskonale wygadane. Raz tylko dał nam wizerunek poważnéj polskiéj matrony i dziewicy polskiéj. (Krosienka — Solenizant). Z młodzieży nie braknie pięknych postaci, ale przewagę (jak było w rzeczywistości) trzyma zgraja łgarzów, obieżyświatów, darmozjadów i łaknąca na pieniądz, jakimkolwiek bądź sposobem zdobyty. Taką gromadkę widzimy wybornie zebraną i odmalowaną w Solenizancie. Język we wszystkich komedyach czysty, naturalny, potoczysty i odpowiedni tak charakterom jak i myślom jasno wypowiedzianym. Gdyby młodemu pisarzowi dramatycznemu przyszła myśl odtworzenia ostatnich lat XVIII stulecia, jak to zrobili Aleks. hr. Fredro (Zemsta) i Fryderyk hr. Skarbek (Zosia Przybylanka) warto ażeby uważnie odczytał wszystkie komedye Krasickiego, a znajdzie w nich materyał bogaty, tak co do kolorytu wieku, jak i wybitnych postaci, w tamtoczesnéj społeczności.

Zanim Krasicki dał swoje utwory dramatyczne poznać, już go poprzedzili Franciszek Bohomolec i Józef Bielawski którego sztuką, otwarto po raz pierwszy teatr w Warszawie. Poprzedził go książę Adam Czartoryski generał Ziem Podolskich pan Puław; trzy jego komedye: Panna na wydaniu; Mniejszy koncept jak przysługa (r. 1744) i Kawa (r. 1774), zasługują na uwagę, wiele bowiem mają siły prawdziwéj komiki, i przywary krajowe wybornie malują.

W rok po ogłoszeniu drukiem trzech komedyj Krasickiego, wystąpił Franciszek Zabłocki, jeden z najznakomitszych pisarzy dramatycznych, ogłaszając drukiem doskonałą komedyę Fircyk w Zalotach (r. 1781), lubo już równocześnie bo także w roku 1780, wydał małą operę Bal gospodarski. We dwa lata wydrukował mistrzowski swój przekład Amfitryjona Moljera i pełną dowcipu i humoru Żółtą szlafmycę.

Zabłocki, pod wielu względami zasługuje na głębsze studya. Dziwném zbiegiem okoliczności, gdy wielu dano rozgłos mniéj zasłużony, pierwszy ten komedyo-pisarz pozostał w cieniu. A zaprawdę, godzien oceny sumiennéj, tak co do samych utworów dramatycznych, jak i pod względem języka, w którym jest mistrzem nieporównanym, i dotąd tą przewagą góruje po nad wszystkiemi w téj gałęzi pisarzami. Ułatwił nam wielce to zadanie zasłużony Fr. S. Dmochowski przez poprawne wydanie wszystkich prac Zabłockiego.

PAŁAC I FOLWARK.

Obrazy naszych czasów

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

„Kogóż tu macie na wsi?“ spytała ciągle mówiąc tylko po francuzku, hrabina.

„Sąsiedztwo się wcale nie zmieniło“, odpowiedział Margocki, „ciż sami ludzie, tylko — niestety postarzeli trochę, dużo zubożało... kilku umarło...“

„Więc?“ spytała wyzywając hrabina.

„Hrabowie Żyńscy...“

„Hrabiowie??“ uśmiechając się powtórzyła Skwirska, „a daléj?“

„Państwo Targońscy...“

„Bon, przypominam... tak... te sławne owczarnie, on n'y parle qu' en grais, moutons et religion już wiem... bardzo pobożni... bardzo przyzwoici... ale nudni. Niema świetniejszego nic, gdzieby się zabawić, rozerwać umiano?“

„W ogólności“, rzekł Margocki, „kraj nasz bardzo mało się bawi, czasy są ciężkie.“

„O! bardzo ciężkie, il n'y a que les usuriers qui prospèrent“ westchnęła hrabina. „Ale ja też nie myślę się bawić, przyjechałam odpocząć, kółko jak najmniejsze sobie zrobię... je vivrai très retirée.“

„Gdybym ośmielił się poddać myśl...“

„Ośmiel się, panie Margocki“, z uśmiechem rzekła pani.

„Pani hrabina z miejscowych żywiołów mogła by sobie dwór stworzyć — Wikary, ksiądz bardzo przyzwoity, córka dzierżawcy wielce muzykalna, siostrzan Kanonika młody chłopak, ładny i naiwny... nareszcie ja, sługa pani, kilku jeszcze dzierżawców... Cela ne tire pas en consequence, dodał, są to stosunki jak u wód, qu' on laisse demain, quand on en est degouté...“

Hrabina przelotnie nań spojrzała.

„Nous en reparlerons!“ szepnęła, „myśl nie jest zła. To się będzie nazywać że nie przyjmuję nikogo, a zawsze jest jakiś resurs. Z temi téż ludźmi, do żadnych wystąpowań kosztownych nie jestem zmuszona... tout leur sera bon. Mój Margocki, powiedz że ty mi“, dodała, „co wy robicie z pieniędzmi że ich u was nigdy nie ma!!“

„Ale my ich téż nie mamy.“

„Przyznaj się — hrabia traci??“

„Pani hrabino dobrodziejko, nie tylko jeden, ale oba szalenie tracą. Naturę mają pańską...“

„Ale za cóż ja mam za nich pokutować!“ żałobliwie poczęła hrabina... „zostawiliście mnie odłużoną w Paryżu... a wiecie że Paryż wymaga... Bywając u Cesarzowéj która jest z Księciem Metternich razem taką elegantką, niezmiernie wiele potrzeba, przecież się swój kraj reprezentuje... Narobiłam długów, choć ledwie le premier necessaire sobie pozwalałam. Nie macie na to wyrozumienia najmniejszego! Nikomu bym się nie dziwiła, ale ty, mój Margocki, que je croyais devoué à mes interets!“

„Pani“ przerwał plenipotent uderzając się w pierś, „proszę wierzyć, że czyniłem l'imposible...“

„A nic zrobić nie mogłeś! nic!“ westchnęła hrabina. — Teraz ja ci powiem, c'est mon ultimatum, muszę powrócić do Paryża, dałam Cesarzowéj słowo, a nie mogę inaczéj jak wioząc pieniądze dla spłacenia długów. Il y va de mon honneur!“

Hrabina zdawała się w tém słodkiem przekonaniu, że dosyć było jéj groźby, aby dobyć pieniądze, o których pozyskaniu zresztą najmniejszego nie miała wyobrażenia. Myślała że obowiązkiem było tego świata co pieniądze miał, dostarczać ich na uciechy i fantazye wielkiéj pani.

Margocki patrzał i milczał; hrabina powtórzyła:

„Powiedz to sobie — że muszę powrócić, a nie wrócę bez pieniędzy... c'est mon ultimatum!“

Plenipotent milczał jeszcze, skłonił się i szepnął: „Nous ferons l'imposible.“

„Oba hrabiowie tracą niemiłosiernie a ja za nich cierpię!“ dodała hrabina, „nie mieć nawet tych nędznych stu tysięcy franków w rok których potrzebuję — mais c'est quelque chose d'horrible! W końcu mnie zmuszą że się zakopię na wsi i naturalnie umrę... bo ja tu żyć długo bym nie potrafiła. Ja się już stałam paryżanką, mój Margocki, mnie potrzeba lasku, bulwarów, opery, tuilerjów jak powietrza do życia....“



Konstanty hr. Tyszkiewicz.

(Wilija i jéj brzegi.)

„Ty przecie mnie zrozumiesz i wejdziesz w położenie moje... mój drogi.“

Spojrzała oczyma tkliwemi na plenipotenta, który téż rozczuloną zrobił minę, ale nie wiedział co odpowiedzieć i kłaniał się tylko.

„Enfin, nie trzeba sobie zatruwać tych pierwszych chwil powrotu, ty to będziesz pamiętał...“ rzekła powoli. „Postaraj że się zaprezentować mi tych panów i te panie, które rekomendujesz i sam mi ten dwór ułóż — ale pamiętaj, że choć skromny i wiejski, przyzwoitym być musi.“

„Pani hrabina od wieśniaków nie będzie wymagającą“, rzekł plenipotent. „Córka pana Ostójskiego może wybornie służyć do gry na cztéry ręce...“

„A! to doskonale!“

„Ks. Wikary...“

„Ten żółty?“

„Ten sam — tak, przyzwoity jest i skromny... a potém?“

„Młody medyk... z probostwa, ładny i miły chłopiec...“

Hrabina spuściła oczy, znalazła znać rekomendacyę nadto naiwną.

„Któż więcéj? kto więcéj?“

„A no, stary wielbiciel pani, pułkownik napoleoński — Baron Erlich...“

„Przypominam sobie — miły, umie rozmawiać, mnóstwo anegdot o Napoleonie... Tak! tak! więc żyje.“

„Zasechł i trzyma się dotąd, tylko co roku peruczkę odmienia...“

Na téj rozmowie przeszła godzina, a że pani po podróży skarżyła się na ból głowy, Margocki wkrótce ją pożegnał. Następny dzień poświęcony był obejrzeniu pałacu, ogrodu i przygotowaniem do uczynienia pobytu możliwym. Cały dwór latał, popychany w różnych kierunkach... pałac i ogród jakby z letargu wyprowadzone ożyły.

Zrana ks. Wikary był ze mszą, a na kawę proszony do hrabinéj, siedział godzinę słuchając opowiadań o biskupach, osobach duchownych, ks. Dupanloup, Darbois, ks. Bauerze, O. Hyacyncie... o których hrabina wiele ciekawych szczegółów wiedziała.

Tegoż samego wieczora wcale niespodziewanie przybył dowiedziawszy się o powrocie matki, młody hrabia ze stolicy... na powitanie hrabinéj któréj od roku nie widział. Stosunki matki i syna były bardzo na pozór serdeczne, w rzeczy całkiem chłodne. Cieszyła się ona że umiał w świecie i na dworze przetorować sobie drogę, rada była że imię swe nosić umie godnie, ale nie mogła mu darować iż to tak drogo kosztowało... i nie dozwalało jéj swobodniéj odpoczywać w Paryżu. Znajdowała, że powinien był od dawna

bogato się ożenić i przestać być rodzicom ciężarem a znaleźć pannę któréj by majątek dla obojga starczył.

Charakterystyczném było, że matka i syn nigdy z sobą otwarcie nie mówili; rozmawiali o świecie, o dworze, o interesach nigdy. Syn narzekał na mamę przed plenipotentem, ona się na niego skarżyła także — ale z sobą będąc wzajemnych żalów nie napomknęli nawet nigdy. — Hrabina znajdowała równie jak on, que ce serait mesquin...

(C. d. n.)

Z PODRÓŻY

przez

J. Gordona.

III.

Jeżeli gryzę, to sercem gryzę!

Dojeżdżając do Genewy, Jan Jakób Rousseau snuł mi się w głowie — o nim ciągle marzyłem, pałając chęcią obaczenia jeziora, nad którem dumał; rynku, gdzie dzieła jego urzędownie palono; i pomnika, który mu wystawili obywatele, gdy już męczennik przeszedł do innego, szczęśliwszego świata.

Cóż to za sprzeczności!

A jednakże sprzeczności takie napotykamy w życiorysach wielkich ludzi wszystkich narodów, nie wyłączając i Polski. Za życia tortury; po śmierci, gdy już nikomu nie zawadzają, gdy umilkła zazdrość, zawiść i rozbudzone wyższością bliźniego namiętności, wtedy jarzące świece, stuk karet, kadzidła i lamp tysiące błyszczy, na wzór dla żyjących!

Smutny dramat istnienia i smutny zgon niemal każdego geniuszu, wyższego talentu i męża wolności.

Promoteusz przybity do skały, Chrystus na Golgocie, Diogenes przez Synopę skazany na wypędzenie, Sokrates wypijający truciznę, Hus i Cerwe w płomieniach, Galileusz i Kolumb zakuci w kajdany, Dante i Cerwantes na wygnaniu, Szekspirowi odmówiony pogrzeb na cmentarzu, Mochnacki pod mającą się zbudować dlań szubienicą, Corregio, Grottger i Słowacki łaknący nieraz kęsa chleba, Deskart ścigany przez rządy, Milton zmuszony nędzą sprzedać swe arcydzieło za jednego szterlinga, lord Byron wołający: „Żałuję tylko, żem nie zostawił nic, coby było téż godne,“ i tylu a tylu innych, znanych i nieznanych.

Na krzyż z nimi! na krzyż! a wypuścić Barabasza!...

Z drugiéj strony rozkoszujący Sardanapale, Baltazary i Nerony, satrapi i gułaje — z całą czeladką czarnych przekupniów ducha, tudzież owych ponętnych ludzi, orderowych, plombowanych, lojalnych obrońców systemu cytadeli i banicyi.

Oto dzieje ludzkości!

Są one oblane łzami, spisane krwawemi głoski, są streszczeniem ciężkich prac w Adamowym pocie, mozołów i cierpień przetrwanych. Długi odgłos szlochań, jęków i narzekań roznosi smętne echo po bożym świecie.

„Vanitas vanitatis!“ zawołał któryś z pasażerów Niemiec, kończąc gawędę z śmiejącym się w wagonie do rozpuku sąsiadem.



Pomnik
zasłużonych w nauce Pijarów, księży: Gołańskiego, Sieradzkiego, Danilowicza i Głogowskiego, na cment. przy kośc. w Dukształach.
(Wilija i jéj brzegi.)

Czyliż to piekło się ze mnie naśmiewa? jestże to chichot szatański?...

I ocknąłem się nagle z podróżnéj zadumy.

Potém nastąpiła cisza, sprzyjająca rozmarzonéj głowie.

„Vanitas vanitatis!...“ Ma słuszność ten długo-nosaty jegomość... wszak próżność, próżnia, próżniak, z jednego źródła pochodzą.

Wiesz dla czego dzwon głośny? bo wewnątrz jest próżny.

Próżnia rodzi najczęściéj próżność, ostatnia próżniaka. Wady te kosztują codziennie miliony, wyrzucone w błoto. Alcybiades w swym hełmie z kości słoniowéj, purpurowym płaszczu i złotych sandałach, nie mógłby się mierzyć pod względem próżności z tak zwanym lwem dzisiejszego wieku lub kokietką przybraną w brabanckie koronki, których na swe szczęście nie znał świat starożytny.

Taka to próżność cechowała także i ów „pobożny“ zakon niemiecki, nie posłuszny swemu papieżowi. Krzyż błyszczał na ich chorągwiach, gdy łupili Litwę i biednych jéj mieszkańców za nogi po lasach wieszali. Krzyż nawet był wykrawywany i na szynkach, które u nich przy uczcie podawano.

Chęć błyszczenia na zewnątrz i ciągłe staranie zaimponowania innym, jest głównym celem próżności. Oprócz pustych i czczych w sobie tytułów, należą tu i ordery.

Mój Boże! wiele to radości sprawia nieraz pstrokata wstążeczka zyskana kosztom współbraci, i wieleż to tysięcy orderów wymyślano, aby można za niską cenę kupić sobie człowieka, uderzywszy w stronę jego próżności.

Za czasów Stanisława Augusta, tegoż samego, który ręką nie ustraszoną a sercem spodlonem trzy razy podpisał rozbiór państwa swego, nie jedna z owéj masy ładnych

a tak licznych starościn pozwalała się z hańbić, byle tylko choć przez jedną noc być królową; a nawet sam August dla samolubstwa i próżności wyrzekł się sumienia i ściągnął na siebie przekleństwo narodu.

Gdy taki pan umiera, robakom nawet odmawiają słusznego prawa do jego trupa, balsamują, chowają do cynowéj albo srebrnéj trumny, składają w marmurowym grobie, na którym staje posąg z szumnemi pochlebstwy w złocistych rymach, obstalowanych u najętych wierszokletów dla olśnienia potomnych...

Temi i tem podobnemi zajęty byłem myślami, przybywając wieczorem do Genewy, zwanéj miastem uczonych, gdzie wskutek instytucyi republikańskich mniéj niż gdzieindziéj szkodliwych wad próżności spodziewałem się znaleść.

Smutek na wstępie mnie opanował, gdy na ulicy Mont-Blanc ujrzałem z okien buchające światła jednego z domów i usłyszałem tkliwą na fortepianie muzykę i jeszcze tkliwszy śpiew przy niéj.

Ileż wspomnień na raz cisnęło się do duszy!

Sam jeden nieznany cudzoziemiec, cierpiałem w obec szczęsnych istot, z których żadna nie nazwałaby mnie swoim synem, swoim bratem, i wskoczyłem do najbliższéj dorożki, kazawszy się zawieść co prędzéj do hotelu, żeby już nic nie widzieć i nic nie słyszeć, będąc w takim nastroju ducha.

Zerwał się ni ztąd ni z owąd wiatr gwałtowny, owa biza, będąca podczas jesieni i zimy plagę dla Genewczyków. Padały poobrywane szyldy i dachówki z łoskotem. Zapragnąłem, aby ten wicher wywiał ze mnie tęsknotę. Zaprawdę, jeden tylko Polak wie, czém jest tęsknota, a nie wie co czyni ten, ktoby urągał współbraciom dotkniętym tęsknotą. To wyraz, który na żaden język przetłomaczyć się nie da — to ocean wrący mękami.

Nazajutrz odszukałem mego przyjaciela, pana S***, z którym od czasu opuszczenia Lipska dwa razy się w podróży spotkałem. Miał dużo ze mną do pomówienia, pojechaliśmy zatem na spacer do Ferncy, by na ustroniu pogawędzić swobodniéj.

Korzystajac z téj dwugodzinnéj przejażdżki, odwiedziłem mieszkanie Woltera, tego najdowcipniejszego pisarza swojéj epoki, którego radbym był słyszeć rozmawiającego z Fryderykiem.

Zdziwiłem się, że Wolter żyjąc w Szwajcaryi, wybrał sobie tak nudne siedlisko, mając w pobliżu rozkoszne, uśmiechające się jezioro Leman, ów Wolter, który tak lubił życie.

Stary dom, gdzie Anglicy ucinają po kawałku firanki lub obrywają liście z drzew szczepionych historyczną ręką, i gdzie pokazują meble filozofa, jakoby nie tknięte od czasu jego śmierci (czemu trudno dać wiarę), tudzież mały ogród źle utrzymany, stanowią ciekawości Ferncy. Brakuje tylko w tym rodzaju muzeum wolterowskiego, z klamrami trzewików i jego upudorowanéj z harcapem peruki.

Przepraszam! Dodać potrzeba do szczególności i kaplicę z napisem na froncie:

„Deo erexit Voltaire.“

Zatrzymałem się przed napisem.

Znowu próżność!

I przyszedł mi na pamięć napis w kościele O. O. Dominikanów w Łucku, z którego zaledwie przypominam sobie te wyrazy:

Franciszka Nowowiejska z Czetwertyńskich domu,
W tym tu grobie leży. Jeśli dziwno komu,
Niechaj się nie dziwuje! Przy królowéj nieba,
Księżniczce, starościnie Bracławskiéj być trzeba.

Przewyższył także w próżności wygadanego encyklopedystę z Ferncy nasz kasztelan M. Bo gdy tonął w rzece Tanwi, a wyciągnął go zwody z własnem niebezpieczeństwem chłop za czuprynę, kazał owemu chłopu wyliczyć dwadzieścia nahajów za to, iż się ośmielił dotknąć wierzchowiska szlacheckiego; a następnie w nagrodę za ocalenie życia darował mu wioskę w dziedzictwo.

Nad Tanwią zaś wzniósł pomnik, do którego sam kasztelan ułożył taki epigram:

Jak drogie życie Pańskie, Pan wie,
Bo go ratował w rzece Tanwi;
A że Pan Pana z przypadku wybawił,
Pan Panu na pamiątkę ten pomnik wystawił!

Vanitas vanitatis!

Ale na co szukać jéj odbłysków aż w Ferncy, Łucku i nad Tanwią, kiedy takowych i tu we Lwowie każdy może bez płatnie znaleść, nie tylko między żywemi, ale i umarłemi; na przykład w napisie na grobowcu w kościele Ormiańskim, i to z nie zbyt odległych czasów, bo z r. 1728:

O! jak cienka jest życia ludzkiego osnowa,
Anna pod tym marmurem śpi dyrektorowa;
Zgasł nam splendor szlachetny z Jaśkiewiczów damy,
W życiu doskonałości równéj szukać mamy;
Ta lubo dzieci nie miała, wszystkim matką była,
Życie święte w sześdziesiąt lat i trzy skończyła;
Krysztof Augustynowicz, małżonek serdeczny,
Złożył ten marmur afektu za fundament wieczny.
Te krótkie na nim łzami zakreślone słowa:
Niech z Bogiem odpoczywa tu dyrektorowa!

GRENADYERZY.

(Z Heinego.)

Dwóch grenadyerów z moskiewskiéj niewoli,
Przez kraj niemiecki do ojczyzny zdąża,
Nagle wieść nowa o nowéj niedoli
Francyi, w smutku ich duszę pogrąża.

Na wieść o klęskach, tylu mężnych zgonie,
Na wieść że Cesarz, ich Cesarz jest jeńcem,
Twarz się ich mieni, blednie i płonie
Zapału, wstydu i gniewu rumieńcem.

W tém rzecze jeden, cały łzami zlany:
Serce mi pęka; ach ileż boleści!
Ogniem mię palą zabliźnione rany!
Bądźże przeklętą ty złowroga wieści!

Drugi mu na to: I ja bym me życie
Chętnie dziś oddał w obronie Cesarza,
Ale tam w domu mam żonę i dziecię,
Może dziś nędza i głód im zagraża.

I cóż mi dzieci!?! toż w naszym narodzie
Sierotom chleba nie zbraknie, ni soli,
A choćby żebrać im przyszło o głodzie
Wszakże mój Cesarz, Cesarz mój w niewoli.

Przysięgnij bracie, że jeżeli umrę
Na obcéj ziemi, nie w Francyi kochanéj,
Zabierzesz zwłoki i złożone w trumnę
Pogrzebiesz w ziemi krwią i łzami zlanéj.

Przy sercu połóż legię honorową,
Karabin w rękę, a pałasz przy boku,
Na piersi zawieś wstęgę purpurową,
Tak czuwać będę od świtu do zmroku.

Jak straż cesarska, w takim ja spokoju
Czuwać tam będę, nim armatnie strzały
Nie wezwą na koń! nie rzucą do boju
Na zemsty pole, gdzie już walki wrzały.

Bo do téj zemsty powstaną z mogiły,
Kiedy Cesarza znów ujrzą na czele,
Staną w szeregi znów potężne siły
I oczom wrogów szabel błyśnie wiele.

Wśród wrzawy bitew i szczęku oręża,
Piersiami memi pierś jego zasłonię,
I znowu ujrzę jak wrogów zwycięża,
Cesarza mego, znów ujrzę na tronie!

W Styczniu 1871 r.

F. G.

Historya o dwóch parach zakochanych i o połowie trzeciéj

podsłuchana i spisana przez

Józefa Narzymskiego i Władysława Sabowskiego.

(Ciąg dalszy.)

IX.

Gdy ta małżeńska scena szybko się w jadalni odbywała, w buduarku zostały dwie siostry z amatorem starożytności.

To zostawienie go z dziewczynami, to nastręczenie mu pięknéj Halinki na Cicerona, zwiększyło niepokój podejrzliwego kawalera.

„Do djabła!... czyżby to był już atak?...“

Ale zawstydził się sam przed sobą.

„Zgłupiałem rzeczywiście“, myślał, tu przecież majątku mego nie znają, a osoba moja...“

Złoty młodzieniec poznański, który przeszłego karnawału bogactwo narodowe zwiększył o 5 lub 6000 talarów, uruchomiając tyleż martwego kapitału za pośrednictwem weksli, byłby w podobném położeniu pomyślał wprost odwrotnie, a mianowicie:

„Nadskakują mi... no, bardzo naturalnie!... majątku mego nie znają, a osoba... ba!... osoba!!!...“

Ale Kliński, jak powiedzieliśmy, choć miał słabostki i nawet ćwieka swego miał w głowie, był jednak rozsądnym i nie głupim człowiekiem. Ćwiekiem tym właśnie była zbyteczna skromność, która mu wszystkie sukcessa kazała przypisywać nie osobistym przymiotom, a majątkowi.

Uspokoiwszy się więc myślą, iż wiadomość o jego finansowéj sytuacyi nie doszła do Małéj Woli, swobodniéj zaczął się rozglądać po zbiorach, uważniéj słuchać miłéj przewodniczki.

Julcia, wziąwszy album jakieś, siedziała sobie na kozetce, a Halina, biorąc jeden przedmiot po drugim, pokazywała go gościowi.

W opowiadaniu jéj nie było naturalnie ani erudycyi ani znajomości choćby powierzchownéj. Ale dziewczę może z nudów trochę zaciekawiło się do wykopalisk, prace kopaczy śledziło uważnie, słuchało rozmów i domysłów ludzi. Uwagi więc jéj o położeniu każdego przedmiotu w chwili znalezienia, szczegółowe i dokładne, były rzeczywiście nie bez interesu, a uroku dodawały im naiwne legendy fantazyą ludu do każdéj z tych skorup przyczepiane.

Powoli młody człowiek z przyjemnością wsłuchiwać się zaczął w tę dziwną, niby jednostajną, a przecież pełną rozmaitości powieść. Sam zbiór zaczął go także zajmować mocniéj. Jakkolwiek żyłka zbieracza niedawno w nim tętnieć zaczęła, a jego erudycya w tym kierunku była jeszcze bardzo powierzchowną, mimo to jednak, lub może właśnie dla tego, rzecz całą traktował on z zapałem nowicyusza. Wykopaliska zresztą małowolskie choć żadnych białych kruków nie obejmowały, stanowiły jednak zbiór bardzo bogaty rzadkością i rozmaitością przedmiotów.

Kliński zaczął się palić do nich, i coraz więcéj niemi zajmować.

Dawno już nietylko pani Sydońska wróciła, ale i małżonek jéj na palcach się wcisnął i siadłszy w kąciku dyskretnie tłumił poziewania, a młoda para wciąż jeszcze oglądała różne przedmioty.

Nareszcie po obejrzeniu ostatniéj blaszki, któréj użytku i znaczenia Kliński ze wstydem nie umiał oznaczyć, podziękowawszy pięknéj dozorczyni, odwrócił się młody zbieracz do gospodarza domu, i rzekł:

„Rzeczywiście zbiorek jest bardzo ciekawy, i byłbym wdzięczny bardzo, gdybyś mi go pan raczył odstąpić.“

„Oh! z największą przyjemnością“, zawołał pan Aureli.

„A czy cennika szanowny pan nie posiada?“

„Cennika?... ten... tego...“ zaciął się pan Aureli bo w téj chwili usłyszał znaczące chrząknięcie żony. Myślał

on długo nad tém jak ofiarować darmo, ale teraz mu jakoś konceptu zabrakło. Czuł zaś, że prezent taki należy w bardzo grzeczną formę obwinąć.

„Cennik!...“ ciągnął więc, „a na co?... ja panie, panu dobrodziejowi ten zbiorek bez pretensyi ofiaruję...“

„Ależ, przepraszam, panie dobrodzieju... ja tak przyjąć nie mogę... to ma wartość“, protestował zaambarasowany Kliński.

„Daruj pan“, przerwała żona, „ale mój mąż nie miał nigdy zamiaru handlować temi rzeczami... Jakkolwiek nie jesteśmy bogaci“, dodała z pewną dumą, która te wyrazy pozwalała rozmaicie tłomaczyć, „możemy się jednak bez takich zysków obyć... To nie nasza własność... tylko własność narodu... ogółu... Od początku postanowiliśmy ofiarować to do jakiego zbioru większego... Pan, taki znawca... trafiasz się pierwszy... więc...“

Trudno było coś odpowiedzieć na to zręczne i zarazem szlachetne wyjaśnienie, Kliński jednak próbował protestować.

„Ale pani dobrodziejko!“

Pani Sydońska wstała i zbliżywszy się do gościa, tonem pełnym dumy, w którym bystrzejszy słuchacz byłby się może sztuki dosłyszał, zawołała:

„Panie Kliński!... wolno było panu nie przyjeżdżać... ale raz przybywszy, nie możesz téj bagateli odmówić bez... upokorzenia nas...“

Nie było rady. Klińskiego zresztą ujęła ta duma szlachecka ale szlachetna, zdolna zwyciężyć nawet potrzebę grosza.

„Nie umiem wyrazić jak jestem zawstydzony słowami pani“, rzekł całując rękę gospodyni, „i takiemu rozkazowi na takich opartemu powodach oprzeć się nie mam prawa, ale pod jednym warunkiem...“

„No, słuchamy...“

„Że zbiór ten tylko urządzę i wraz z moim oddam Towarzystwu Naukowemu w Poznaniu... z wzmianką od kogo pochodzi...“

„A!... to... to...“ zawołał z kąta pan Aureli. „Imienia Sydońskich... zawsze myślałem o tém...“

Pani Sydońska zadrżała z oburzenia, ale niczém go nie dała poznać, tylko jakby nie słysząc słów męża daléj ciągnęła rozmowę.

„Zrób pan co zechcesz... ale i mój mąż kładzie jeden warunek...“

„Wszystko co państwo rozkażą...“

„Oto że dla dopełnienia tego zbioru pan zostaniesz dłużéj u nas... to wszystko znaleziono na wierzchu prawie... pod pańskim kierunkiem rozkopiemy mogiły i kopce aż do głębi, i może znajdziem co ciekawszego...“

Propozycya ta uderzyła jak piorun w Klińskiego. Nie spodziewał się jéj, nie przewidywał. Zwykłe podejrzenia daleko silniéj w nim się rozbudziły, ale byłże sposób odmówienia?... Wolny, sam, kawaler musiałby chyba szukać w kłamstwie wymówki, a on kłamać nie lubił i nie umiał. Zresztą i ta rodząca się namiętność zbieracza szeptała mu do ucha... Bóg wie co tam jest w tych kopcach!... może rugijski Światowid... może olbrzymi posąg innego boga starych Słowian!...

Nakoniec zostać dni kilka w poczciwym szlacheckim domu, gdzie się pasą, bawią, pieszczą, toż znów nie największe na świecie nieszczęście.

„Cóż robić?... postanowiliście mnie państwo upokorzyć, zgnieść waszą gościnnością i dobrocią... nie pozostaje mi jak tylko poddać się téj miłéj tyranii...“

„A! tak to lubię...“ rzekła pani Sydońska, „jutro bierzemy się do pracy... ale ostrzegam pana, że będziemy rozkopywali wolno i ostrożnie... znudzisz się pan... lecz dla nauki trzeba coś poświęcić...“

A gdy Kliński komplementem na to odpowiadał, pan Aureli mówił sobie w duchu...

A to umie gadać!... niech ją!... ba!... to babska rzecz... i nie mogąc dłużéj wytrzymać rzekł:

„Ale tamci czekają... możebyśmy poszli do nich panie dobrodzieju...“

„Służę panu...“

Pani Sydońska nie przeszkadzała już teraz wcale, bo zrobiła co chciała. Zostawiła więc córki wyglądające czegoś każda przez inne okno i wyszedłszy do salonu obeszła parę razy w koło i potém stanąwszy na środku, z tryumfującym na ustach uśmiechem rzekła półgłośno do siebie:

„Tak!... tak czy inaczéj musi mi się udać...“

A potém brwi jéj się zmarszczyły nieco, tupnęła nogą i spoglądając w okno wychodzące na dziedziniec z niecierpliwością zawołała:

„A tamtych jak nie widać tak niewidać!... czyżby nie mieli przyjechać, niedołęgi!“

(C. d. n.)

WILIJA I JÉJ BRZEGI

przez

Konstant. hr. Tyszkiewicza

(z 2 rycinami).

(Drukarnia J. I. Kraszewskiego.)

Wilija naszych strumieni rodzica,
Dno ma złociste i niebieskie lica,
Piękna Litwinka co jéj czerpa wody,
Czystsze ma serce, śliczniejsze jagody.

Jest to początek pieśni, do któréj natchnienie wielkiemu poecie dała strumieni litewskich rodzica — Wilija. Pieśń ta rzewna obiegała z ust do ust po całéj ziemicy naszéj, powtarzały ją usta bogatych i biednych, wielkich i maluczkich, aż nim się stała tém czém dziś jest — własnością ogółu. Adam podniósł oblubienicę Niemna w krainy ideałów, po nim ukochany gawędziarz litewski w cudownéj formie skreślił jéj widoki, wydobył z pamięci ludu jéj podania, wywołał wspomnienia jéj przeszłości i utworzył jeden z naj-

piękniejszych obrazów literatury naszéj. Po wydobyciu piosnki z tęsknéj piersi wieszcza, po cudnym obrazie powieściopisarza, brakło jéj jeszcze na historyografie, któryby płynąc po jéj wodach, mierzył ją we wszelkich kierunkach, spisywał po drodze jéj dzieje, zbierał nadbrzeżne ludu obyczaje, podania i pieśni jego gminne. Dokonał tego trudnego i mozolnego zadania Konstanty hr. Tyszkiewicz, w świeżo wyszłém z pod prasy dziele: Wilija i jéj brzegi. Rzeki na Litwie nie miały jeszcze dotąd swoich opisów. Pierwszy na to nieuprawne pole, rzucił się wyżéj wspomniany autor Wilii i jéj brzegów. Trudna ta praca nie jest poświęcona wyłącznie suchym opisom topograficznym, historycznym i archeologicznym, coby robiło ją przystępną tylko ludziom nauką się zajmującym; ale przeplótł ją autor powiastkami i podaniami ludu na brzegach zebranemi, obrazami przygód jakie w czasie podróży go zaskoczyły, wspomnieniami osób, które bądź kiedyś żyły, bądź dzisiaj nad brzegiem opisywanéj rzeki żyją. Forma ta robi ją przystępną i powabną ogółowi. Część pierwsza zawiera opis od źródła aż do miasta Wilna, część druga od Wilna aż do kowieńskiéj doliny, t. j. do chwili kiedy ją wśród tulipanów i narcyzów,

„Niemen w gwałtowne pochwycił ramiona,
„Niesie na skały i dzikie przestworza,
„Tuli kochankę do zimnego łona,
„I ginie razem w głębokościach morza."

Całą tę pracę ozdabia kilkadziesiąt drzeworytów, przedstawiających widoki miejsc nadbrzeżnych. Dwa obrazki allegoryczne: pierwszy, malujący legendę o początku Wilii, drugi chwilę jéj zejścia się z Niemnem, układu znakomitego illustratora Pamiętników Paska. Widoki nadbrzeżne zdéjmował w czasie podróży Marceli Januszewicz. Gdy do tych zalet dodamy jeszcze prześliczne i bogate wydanie w drukarni J. I. Kraszewskiego, mogące iść w zawody z najpierwszemi tego rodzaju wydaniami Lipska i Paryża, to dziwić się musimy, że w tych czasach obojętności dla literatury i sztuki, wydawca nie cofnął się przed postanowieniem, do którego go dobro ogółu natchnęło. Ale pobudki do téj monumentalnéj pracy sam autor w przedmowie najlepiéj maluje.

„Całem sercem kocham ziemię, co mnie życie dała, co na starość chlebem karmi, co nie odmówi mnie w swojem wnętrzu miejsca na ostatni spoczynek; ztąd każde jéj powodzenie, radością mnie napełnia, jak krzywda jéj wyrządzona, smutkiem serce zakrwawia; cała więc koléj losów téj ziemi, na obszerném tle przeszłości rozrzuconych, najwyższy interes w każdym z was wzbudzać powinna."

I nie wątpimy że wzbudzi, bo kiedy to autor pisał, Ojczyzna proroków naszych, Litwa, niemiała jeszcze po wywracanych bogów swoich, pozagaszanych ognisk domowych, porujnowanych kościołów, rąk skrępowanych i ust na kłódki pozamykanych. Wrzało wówczas całą siłą jéj życie, a krew narodu w biegu swoim regularnie po sercach krążyła. — Mówimy po sercach, bo w téj wielkiéj męczennicy, co ją Polską zwiemy, miejsce dla Litwy na sercu przypada. Cóż więc dziwnego, że serce cierpi najwięcéj?!...

Kiedyśmy wzięli do rąk prześliczną pracę hr. Tyszkiewicza, z chciwością pożeraliśmy jéj karty, bo każda z nich z dzisiejszych gruzów wydobywa szczątki złotéj przeszłości Litwy. Polecamy ją więc miłośnikom literatury, historyi i sztuki ojczystéj, przyjaciołom Litwy i litewskiéj rzeki z tém życzeniem, ażeby ją inny los spotkał jak ową Litwinkę i wody Wilii w pieśni Adama:

I ciebie równie przechodzień oddali
Z ojczystych dolin o Litwinko biedna!
I ty utoniesz w zapomnienia fali,
Ale smutniejsza, ale sama jedna.

Wiktor H.

LISTY Z USTRONIA.

II.

Każda z tych ogień i zniszczenie niosących bomb, które padały w pobliżu Hotelu Lambert i naszéj biblioteki na Quai d'Orleans odbijały się w sercu naszém. Schroniliśmy tam pod skrzydła Europejskiej cywilizacyi i międzynarodowych praw strzegących historycznych pamiątek, ostatnie skarby nasze i tam je przecie fatalizm losów wystawił na zagładę. — Obawiano się w Sieniawie najścia Moskali na Galicyę i zwykłego im rabunku; nieprzewidziano (któż by był mógł to przewidzieć) rozpalonych kul które w gruz obrócą Muzeum Cluny i dawny Pantheon Francyi! Nie wiemy jeszcze, czyśmy, jakie ponieśli straty, czy nas może Opatrzność od nich ochroni, lecz drżemy wszyscy... Statuta mazowieckie, pontyfikał Ciołka, mnogie rękopisma, księgi, archiwum Czartoryskich, pamiętniki księcia Adama, korespondencye jego i rodziny, kilkadziesiąt tysięcy aktów i listów... najpiękniejsze zabytki sztuki... wszystko to jest na łasce — pocisków któremi włada... chciałem powiedzieć los ślepy, ale niema ślepego losu... jest tylko wolą Boża. Do nieoszacowanych skarbów tych, prywatną własnością będących, dodajmy kosztem ofiar i pracy zebraną bibliotekę Towarzystwa historyczno-literackiego, dosyć też zamożną w księgi, rękopisma i ryciny... Do tych pamiątek, doliczmy starych żołnierzy naszych, stare niedole, szczątki ludzi dla nas drogich... dzieci ubogich wygnańców, nasze szkoły... a na ostatku to, co całéj już ludzkości jest skarbem, dzieła sztuki, który nieśmiertelnego ducha ludzkiego, biblioteki, rękopisma, rzezby i obrazy przedstawiające dzieje świata z tych epok, gdy germanie jeszcze po swych puszczach karmiąc się żołędziami błądzili dzicy... Czy interesa jednego narodu mogły go upoważnić do obrócenia w popiół tego, co całemu światu jest drogiem i nie wynagrodzoném? historya odpowie, historya surowa, niezbłagana, nielitościwa, która się upoić niedaje szczęściem, przekupić nadzieją, zmiękczyć sofizmatami... Nieprzesadzam gdy powiem, że oczy i serca całego cywilizowanego świata z uczuciem miłości i sympatyi zwracały się ku nieszczęśliwemu Paryżowi... i że naród dobijający się Herostratoskiéj chwały, nie zyskał w oczach ludzi bezstronnych ani współczucia ani uniewinnienia. Mimowolnie każdy powiedzieć musiał sobie, że siła jest niebezpieczeństwem i żądza tryumfów groźbą, a historya zdobywców powinnaby się od XIX nie powtarzać wieku... Cóż pomogą westchnienia i słowa? powiecie. Na dziś zapewne nic, ale to są świadectwa dane prawdzie. — Co do nas mimowolnie też pomyśleliśmy sobie, że nam zabrano do Petersburga i zrabowano bibliotekę Załuskich, część Puławskiéj, bibliotekę Przyjaciół Nauk w Warszawie, część Archeologicznego muzéum w Wilnie, niezliczone księgozbiory szkólne i klasztorne, ale te niespłonęły przynajmniéj, kozacy uronili dużo po drodze z ogromnéj książnicy Za-

łuskich, wiele rozkradziono i zmarnowano, cenniejsze przecież rzeczy zostały, i istnieją — a tu... rzucona iskra przeszłości świadectwa w oka mgnieniu może zatracić na wieki.

I gdzież się skryć przed grabieżą i zniszczeniem?... Mówią nam, że bezpieczniejsi będziemy pod gościnnym dachem Szwajcarów w Rapperswylu. — Niestety! cóż go broni? prawa narodów? Gdzież są dziś narodów prawa? w Pufendorfie i Valtelu nie na żywym świecie i w stósunkach istniejących... A jeśli interes państwowy nie będzie się mógł obejść bez kawałka Szwajcaryi? czy ją Valtel, Pufendorf i prawa narodów od dział Kruppa obronić potrafią?!...

Mówmy więc odbolawszy o czém inném, mówmy o czém inném, aby o ciężkiem strapieniu i upokorzeniu zapomnieć. — Gdzież znajdziemy cóś pocieszającego? Może w nas samych. — Wiele jest złego pewnie i groźnego, znajdzie się przecież z czego zaczerpnąć otuchę. — Życie całe skupiło się około pracy domowéj, przy ołtarzach narodowości i języka. Tam gdzie najwięcéj przeszkód stawi się swobodnemu rozwojowi narodowości, w zabranych do Rosyi krajach, krząta się ludek Boży, tu i ówdzie wychyli kwiatkiem książka, zaświeci obrazek, zadzwięczy piosenka... ludzie żyją. W Warszawie gdzie od r. 1864 wydawnictwo prawie było ustało, choć pomalutku, znowu się ono obudza... Niektórzy księgarze ważą się na nakłady... niektórzy młodzi wieszcze na poemata. Pisma peryodyczne w Królestwie liczą więcéj abonentów niż wszystkie razem poznańskie i galicyjskie. Połowa literatów galicyjskich ciągnie ku Warszawie, bo tam znajduje współczucie, pracę, życie, którego w domu niema. Z tych młodych talentów Mirona, Sęka, Klina, nic jeszcze na przyszłość wróżyć nie podobna, ale i to są świadectwa życia...

Aleks. Tyszyński wydał swój zarys Krytyki powszechnéj, Levistoux Filozofię natury, a świeżo Leon Rogalski nową historyę Literatury polskiéj. Po Warszawie idzie w ślad Poznań usiłujący poruszyć ogół i dać dowody że swéj przeszłości jest godzien... naostatku zdąża Galicya. Tu z wyjątkiem dzienników żyjących na łasce stronnictw i mecenasów politycznych a gorliwych propagandzistów, pracują tylko stowarzyszenia — Zakład Ossolińskich a nadewszystko Towarzystwo Naukowe Krakowskie. Ostatnie wydaje wiele i ważnych rzeczy, świeżo naprzykład Dyplomataryusz akademii i Walewskiego Historyę Polski wyswobodzonéj za Jana Kazimierza. Z wydawnictw po za granicami kraju, niespodzianką zupełną dla nas była nigdzie nieogłoszona, nieznana nowa Biblioteka historyczno-literacka Behra w Berlinie. Pierwsze jéj tomy składają: Badania krytyczno-historyczne i literackie J. B. z Pobujan (?). Ni mniéj ni więcéj pięć tomów rozpraw, ale z nich dotąd znamy tylko tytuły i nic jeszcze powiedzieć nie możemy... o wartości rzeczy. Tom szósty Biblioteki mieści już znane i w nową tylko okładkę przebrane, Gordona, Przechadzki po Ameryce. Siódmy i ósmy równie znaną Doralicz hr. Idy Hahn-Hahn. Dziewiąty, znane także, Skarbka, Olim. Dwa tomy następne zapowiadają (jeszcześmy ich nie oglądali) Ludwik Kicki i czasy w których żył, dwunasty nareszcie, Pamiętniki Karola i Samuela Różyckich. Całe to przedsiębiorstwo w części nowe, w części odnowione, było i jest jakąś tajemnicą, bo nakładca nawet o niém po pismach polskich nie ogłaszał. — Coś to jest w rodzaju Biblioteki Brockhausa, któraby była mogła umiejętniéj redagowana i drukowana staranniéj bardzo być użyteczną, a sparaliżowaną została zmięszaniem w niéj najlepszych rzeczy z najmniéj wartemi stanąć na równi z niemi... W bibliotece polskiéj Behr'a, co robi Doralisa domyśleć się trudno. Takich dorywczych przedsiębierstw na które zmarnowano pieniądze i zachód — dosyć już naliczyć u siebie możemy. Niektórym z nich nawet jaśniejsza myśl przyświecała, ale ładu i logiki nie było.

Z nowszych książek wymienim tu jako rzecz opracowaną staranniéj, Irenę, powieść oryginalną przez M. G. z czasów prześladowania chrześcian przez Domicyana. Pod względem artystycznym wiele jéj zapewne zarzucić można, ale autor studyował epokę, usiłował przynajmniéj cudownych tych czasów obraz odtworzyć i należy mu uznanie. Wśród wielkiéj ilości powieści dosyć nieudolnych, to ma za sobą, że jest dziełem jeśli nie zbyt świetnego talentu, przynajmniéj poczciwéj pracy.

Jeden z odczytów mianych tego roku w Dreznie, księdza prof. Doktora Respądka, w téj chwili opuszcza prasę. Ojczyzna ze stanowiska chrześciańskiego. — Bez pochlebstwa, nie wahamy się powiedzieć, że pod względem logiki pisarskiéj, natchnienia, piękności stylu, czystości języka, — dawnośmy nic tak pięknego, tak doskonałego nie spotkali. Mała ta książeczka, większą ma wartość niż nie jedno wielotomowe dzieło. Pod względem artystycznym równie śliczną jest broszura Lenartowicza, do Artystów polskich z wezwaniem aby prace swe nadsyłali do Muzeum polskiego w Rapperswylu. W stylu téj odezwy, w kunsztownéj formie zdradza się poeta. Rzewne to, rozczulone, miłe i do serca mówiące.

„Każde oko polskie, — mówi śpiewak — stało się żywą łzawnicą, krwią na pro-Christum pęcznieje ziemia, istne milionowego ludu katakomby, a na utwierdzenie się w wierze język milczący, sztuka polska ogarnie kości, ściągnie w jedno miejsce szczątki zbroj, pamiątek staréj sławy — uroczysta i aż do świętości podniesiona archeologia.“ Broszurka Lenartowicza sprzedaje się na korzyść tego Muzeum, które w tak nieszczęśliwy czas się poczęło... gdy tyle bratnich nędz, gdy tyle potrzeb i troski tyla.

Ad vocem poety, otóż nowiusieńki poemat: Królewska Para, który wyszedł we Lwowie. Autorem jego już znany śpiewak miłości Z pogańskich światów, a zowie sie Józef Trzywdar Tretiak. — Królewska Para to Zygmunt August i Barbara, przedmiot ulubiony początkującym, którzy się radzi na wyżyny drapią... Nie można powiedzieć by tu i pięknych ustępów nie było, ale całość jest jakoś nie zbyt foremna, a wiele deklamacyi. Niektóre obrazy i szczęśliwe wiersze, objawiają talent poetycki a autor przynajmniéj zbyt się o oryginalność nie ubiegał i będąc sobą, ma pewien rodzaj właściwości a fizyognomii odrębnéj.

Nie do mnie by należało pisać o poważnéj książce P. Maksym. Jackowskiego, — ułomnościach narodowych, o których obszerna rozprawa wyszła u was w Poznaniu; należy ona z prawa do miejscowego sprawozdawcy, a pominąć jéj nie godzi się — bo mówi jako sumienie narodu, w téj chwili odezwać się powinno.

Teatrom naszym zapowiada się obfite żniwo, na konkurs krakowski przypłynęło mnóstwo sztuk oryginalnych*), których gdyby trzecia część miała jakąkolwiek wartość, jużby sceny nasze nieco odżyć mogły, po długiem a długiem przeżuwaniu tłomaczeń i rzeczy oklepanych starego repertuaru. Nie lepiéj wprawdzie mają się i teatra niemieckie, które przez patryotyzm wyrzekłszy się tłomaczeń z francuzkiego i pożyczek nadsekwańskich — osiadły na mieliźnie. P. Birch-Pfeiffer i Benedix nie starczą.

Nieszczęśliwe dosyć były dotąd wszystkie prawie konkursa nasze — rzadko się na nie kto zjawiał, a z prac nadesłanych, najczęściéj żadna zadaniu nie odpowiadała. Skarży się na to ks. Bażyński, skarżyło Towarzystwo historyczno-literackie Paryskie, oby Kopernika czterystolecie było szczęśliwszem. Najobfitsze zwykle bywają teatralne konkursa, ale na te gonitwy przybywają współzawodnicy jak Bóg dał, często — oklep, boso i na takich konietach, że chyba rozpaczliwą odwagę jezdzców admirować trzeba.

Już same tytuły sztuk konkursowych, niektórych zwłaszcza — dozwalają o smaku pisarzy i wykształceniu ich osądzić. Teatra warszawskie mało dają rzeczy nowych, we Lwowie grano niedawno Tromtadratów Aurelego Urbańskiego, lecz zdania były podzielone — czekać musimy aż ich wydrukuje dziennik który lub nakładca... W rękopismach Bartoszewicza zostało kilka tłomaczeń dzieł dramatycznych z niemieckiego.

Wszystkie wystawy nasze, krakowska, warszawska, (lwowska także) skarżyły się i skarżą na brak akcyonaryuszów. Stosunkowo najlepiéj może idzie warszawska, któréj rząd dał lokal, a ludzie dobréj woli przewodniczą. W Krakowie, choć nigdy artyści nie są zadowolnieni a Matejko i Eliasz nawet nie dają na wystawę obrazów — jest przecież dosyć i coraz przybywają nowe. Lwowska rozpocznie się w Marcu. Tu właściwie praca i zachód największy — usposobienie ogółu najostyglejsze. Moglibyśmy was zapytać kiedy się otworzy wystawa w Poznaniu i zawiąże Towarzystwo Przyjaciół sztuki, ale wiem że mnie zbędziecie milczeniem.

*) W téj chwili czytamy w pismach krakowskich, że komedya p. t. Epidemija p. Józefa Narzymskiego otrzymała pierwszą nagrodę. (Przyp. Redak.)

B. Bolesławita.

GAWĘDY Z MIASTA.

III.

Drogi Władziu!

Piszesz mi, że z niecierpliwością oczekujesz nowin odemnie i ploteczek karnawałowych. O Władziu, zawiedziesz się gorżko w Twych nadziejach, jeśli sądzisz, że Ci coś wesołego doniosę. Jesteśmy w prawdzie w pełnym karnawale, ale nie taki to karnawał, jak w ówczas, kiedy po zaledwie złożonym egzaminie dojrzałości, królowaliśmy na bazarowéj sali. Zaginęła niestety, dawna tradycya, nikt karku nie łamie przy wyścigach gikami po śniadaniu u nieboszczyka Katza; dotąd żadnego balu, żadnéj szlichtady, żadnego pojedynku — o zgrozo! — Przypomnisz sobie zapewne rok 1863 i 64. Wówczas nie tańczono, bo serce przytłoczone było narodową żałobą, krew czerwonym pręgiem migotała w oczach — szumiały w uszach jęki mordowanych lub wywożonych na Sybir braci, szlochały rozpacze matek, żon, córek i kochanek... Dziś także nikt do tańców nie zdolny, ale inna na nas cięży żałoba... Krew i łzy znów wprawdzie się leją, ale dla obcéj sprawy i obcéj sławy... Wówczas myśl wzniosła, miłość Ojczyzny uświęcały ból, nadawały cierpieniom szlachetny charakter; — dziś każdy rozpaczając, zgrzyta zębami i pięście ściska...

Ależ wróćmy do tegorocznego karnawału. Od kilku tygodni gonią jeden za drugim wieczorki „wistowe“ — jakże one przecież monotonne i smutne... Panowie starsi zasiadają z góry „dans des lieux retirés“ do wista, lub preferansa, matki i ciotki zajmują kanapy i fotele, bawiąc się niewinną kroniką „towarzystwa;“ panienki pochowane po kącikach buduarzyków, szepcą z cicha, tęsknie spoglądając na milczący fortepian. Z rzadka przesunie się przez salon jaki weteran „de la vielle garde,“ co to jeszcze nie wyrzekł się dawnych tradycyi rycerskich i nie ucieka przed gronem dam. Młodzieży à prendre płci męskiéj brak niemal zupełny. Część jéj walczy na śnieżnych polach Francyi, druga ściera się gwałtownie na zielonych łanach Resursy.

Gdyby to można bez mozołu, bez tych fatalnych wizyt we fraku i starań przypodobania się rodzicom, o t t a k wnijść do salonu, wybrać panienkę najbogatszą, mniejsza o to czy piękną, od razu oświadczyć się, być przyjętym i stanąć do ołtarza, w takim razie, kto wie... może byłoby konkurentów dziś więcéj. Ale jakże chcesz mój Władziu, by teraźniejsza generacya opuszczała błogi komfort dla nieznośnych form towarzyskich i to jeszcze narażając się na to, że zaledwie raz lub dwa obok jednéj i téj saméj pojawi się panienki, wnet wszystkie C i o c i e wrzasną od razu: To zła partya — tego człowieka trzeba trzymać bardzo z daleka, kompromituje dom, lepiéj go całkiem zeń „wyprosić!...“ Słowem obie strony nie są bez winy dzisiejszéj salonowéj martwoty; jedna, że z a m a ł o przedsiębiorcza i śmiała, druga, że z a n a d t o przedsiębiorstwo utrudnia i zapały onieśmiela...

Odbiegłem wszakże od rzeczy, drogi Władziu, i zaprzepaściłem się „w labiryncie“ smętnych uwag. Nie chcąc zasłużyć na Twą naganę, powracam do tegorocznych wieczorków.

* * *

Po godzinnéj pogadance, odnośnie po rozegraniu kilku robrów, towarzystwo przenosi się do sali jadalnéj. Mój przyjaciel, h r a b i a E d w a r d, który bywa w najświetniejszych towarzystwach, zaręczał mi, że to jest najprzyjemniejsza chwila każdego „wieczoru“. Wspaniały karp', nadziewane maronami kapłony, lub zamrożone ananasowe galarety, zroszone znakomitém winem czerwoném — bo różowe czasy Mocta podobno niepowrotnie, jak utrzymuje Chewet, minęły — zawsze czynią błogie wrażenie na ludziach wychowanych z estetycznym zmysłem. Dowcip podnosi się jak na drożdżach, animusz rośnie, oczy promienieją, serce silniéj stuka... Rozmowa się ożywia, humór wzmaga i w najlepszém usposobieniu powracają wszyscy do salonów. Tu na kominkach trzaska wesoły płomień a za nim gonią błękitne obłoczki papierosów, kłębiące się z usteczek, które ja, człek staréj daty, pragnąłbym widzieć stworzonemi jedynie do pocałunku i pieszczot... Tworzą się maluczkie gromadki a każdy szuka téj, do któréj w zaciszu swych najskrytszych myśli wzdycha oddawna... Osierocony fortepian nagle się odzywa melodyjnemi dźwięki a za słodką harmonią tonów płyną oswobodzone z więzów myśli... Nie gońmy, o Władziu, za niemi — po cóż nam wdzierać się „w tajemnice dziewiczego łona!“ — jak mówiła niegdyś Elsinoe do Irydiona... Dwunasta wybiła na zegarze, każdy porywa za kapelusz, żegna uprzejmych gospodarzy i spieszy do domu, by nie zaspać nazajutrz godziny „łyżwowéj“... Łyżwowéj? zapytasz — cóż to ma znaczyć?... Otóż odpowiedź.

* * *

Największy nawet moralista przyznać musi, że młodzież ma swoje prawa. Niepodobna od niéj wymagać, by się zasklepiła w martwéj skorupie prozaicznego żywota, by się wyrzekła illuzyi i marzeń, które są najpiękniejszym jéj wieku przywilejem i ozdobą. Gdy włos szronieć poczyna, dość czasu zastanawiać się nad marnościami świata — wiosna nie zna, dzięki Bogu, ani mrozów zimy ani tęsknot jesieni. — Więc pląsać musi i pełną oddychać piersią — więc szybuje jeśli nie po błękitach niebios lub bo ślizgiéj posadzce sali balowéj, to przynajmniéj... p o l o d z i e.

Codziennie też w naszém miasteczku zgromadza się od kilku tygodni w godzinach południowych bukiet płci pięknéj na chłodném lustrze stawu w ogrodzie „ludowym“. Od białych wzgórz śniegu odbijają jak tęcza modre, zielone, szare i czarne oczęta r u s a...łek, których maleńkie nóżki uzbrojone są w łyżwy najrozmaitszych kształtów z bogatego składu pana O b e r f e l d a. Nieraz, ukryty za topolą, śledzę te pełne uroku wyścigi i z westchnieniem patrzę na malownicze grupy, jakie się tutaj tworzą. Tam pędzi młodzian lotem błyskawicy, unosząc na saneczkach otuloną w aksamitny paltocik niebiankę; tam inny, buhając jak lokomotywa parą znużenia, popycha mamę uwielbianego przedmiotu; tu kawaler na wydaniu, rozłożony krzyżem na lodzie, przypina z wdziękiem łyżwy na misterny paryski trzewiczek; to znowu zaświeci w kołyszącym pędzie różowa w ciemnych warkoczach kokardka i znika; czasami błyśnie białe jak puch łabędzi futerko, lub za niebieskim woalem zapromienieje iskrzące oko, którego nigdy nie zapomnisz, gdyś je raz zobaczył... Na ławeczkach, ustawionych na progu téj zimowéj świątyni, spoczęły matrony; obok nich przechadzają się ojcowie, okryci szubami i narzekający na młodości kaprysy. Zdala porżą rumaki u karet i biegają w kółko na wpół zmarznięci lokaje w bogatych liberyach... Wierzaj mi Władziu! trzeba to wszystko na własne widzieć oczy, by pojąć całą roskosz podobnego obrazu...

* * *

Nie myśl przecież, by karnawał tegoroczny innych także nie miał rozrywek. Przeciwnie, nie brak nam i pokarmu poważniejszego. Co piątek ujrzysz w sali bazarowéj liczne grono osób, przysłuchujące się z natężoną uwagą słowom prelegentów, wykładających w sposób równie przystępny jak pouczający rozmaitéj treści przedmioty naukowe. Jak zawsze tak i tu kobiety nasze zawstydzają mężczyzn. One to główny stanowią zastęp słuchaczów, one najwięcéj okazują zajęcia. Na jednym odczycie widziałem dwoje wielkich, głębokich jak fale Oceanu, błękitnych oczu tak zatopionych w mówcy, że mąż ten dostojny, po dwakroć odwilżywszy piersi wodą z cukrem, w końcu powstał z katedry i własnoręcznie podał pięknéj słuchaczce plan suezkiego kanału, by wzrok swój na przestworza morza Czerwonego zwróciła... Inną razą zdawało mi się, jakby prelegent, malujący wiotkie kształty Schink-

lowskich arcydzieł, z mimowolném roztargnieniem spoglądał na smukłe postacie, które naprzeciw niego w półkolu rozsiadły...

* * *

Czas wszakże zakończyć mój Władziu, dzisiejszą gawędę. Spieszę do teatru na pierwsze przedstawienie „Fru fru“, w którém królowa naszéj sceny w pełni swych wdzięków i talentu ma się nam ukazać. A potém w przyszłym tygodniu, we wtorek, koncert utalentowanego pianisty Hertza. Znasz pana Michała Hertza, wszakże to dzięki potędze tonów, serc czułych „wydzierca.“ Nie watpię, że sala bazarowa od góry do dołu przepełnioną będzie płcią piękną i brzydką, a owiany burzą oklasków koncertant ponownie się przekona, iż mimo dłuższych do rodzinnéj Warszawy wycieczek nie przestał być ulubieńcem Poznania... Wreszcie trzeba mi będzie wypocząć, bo jak mi dziś zaręczano przy ulicy św. Marcińskiéj, w tych dniach ma się odbyć świetna inauguracya „Złotego salonu“ przy ulicy Berlińskiéj, w któréj przez wpływy mego wujaszka z Odolanowskiego mam nadzieję także uczestniczyć... Co jeśli nastąpi, spodziewać się możesz na przyszły raz ciekawszego sprawozdania.

Do zobaczenia — za trzy tygodnie!

* * *

P.S. Godzina 3 minut 50 rano. Właśnie się zabierałem do zapieczętowania tego listu, gdy w tém drzwi z łoskotem się otwarły i wszedł do mego pokoju hr. Edward z włosem na pół rozczochranym, w petersburgskich kaloszach i pomiętą białą krawatą, wyglądającą z za niedopiętego futra.

— Słowo honoru, widzę u Ciebie światełko i wpadam na chwilę, by Ci wywnętrzyć się z wrażeń; które, słowo honoru, jak młotem w kowadło uderzają w moje serce...

— Ale gdzież byłeś, Edusiu, zkądże wracasz o téj nocnéj porze z tak wzburzoną piersią? zapytałem zdziwiony tą niezwykłą wizytą mego młodego przyjaciela.

— Słowo honoru — więc nie wiesz o niczém, Ty zasklepiony odludku?... Powracam od Szreniawów z „idealnego“ wieczoru, bawiłem się, słowo honoru, „z życiem,“ serce na najdrobniejsze pokrajałem szmatki... Umieram ze znużenia i z rozkoszy, jestem szczęśliwy i zrozpaczony zarazem — słowo honoru!

— Ależ Edziu, porzuć już raz te nieznośne przysięgi i ogólniki a przejdź do rzeczy.

— Bo to, słowo honoru, nie prześladuj mnie naprzód nałogowém mojém przysłowiem. Mój pradziad po kądzieli także zwykł był mawiać co drugie słowo: Panie Kochanku! — Przecież o tém w téj chwili mówić nie warto. Wolę Ci powiedzieć słówko o wieczorze, zanim pójdę się rzucić w objęcia Morfeusza. Posłuchaj. Dom Szreniawów słynie, jak wiesz, z gościnności, gospodarz przypomina rysami szlachetną twarz kasztelana, swego antenata. U gospodyni wrodzony wdzięk Łodziów chodzi w parze z godnością, odziedziczoną po śp. marszałkowéj-matce... Do tego dodaj przecudny kwiateczek, wypielęgnowany i wypieszczony przez nich... Słowo honoru, *różne* w *różnych* krajach widziałem piękności, ale takiéj...

— Daj pokój, Edusiu, przysiągłbym, że znów zapadłeś na Twoje chroniczne cierpienie...

— Ja?... słowo honoru, nie kocham się w żadnéj, a raczéj jestem na śmierć rozkochany we wszystkich... Gdybyś wiedział, jakie u pp. Szreniawów były kobiety?... Tam z za lazurowych fal jedwabiu, ubielonych lekką pianką koronek, widziałeś wykwitającą prześliczną twarzyczkę, z uśmiechem młodości i wesela na malinowych usteczkach, z „historyczną“ różyczką w płowych warkoczach. Tu zdawało Ci się, że spoglądasz na wschodzącą z błękitnéj pościeli jasnowłosą „jutrzenkę“; tam znów niby trzy gracye ukazywały się zdumionemu oku: dwie o wiotkich kibiciach, jak wyniosłe róże, omglone obłoczkami tiulów, a trzecia cała perłowa... Ach, czy znasz Ty piosenkę z „Pięknéj Heleny“ o „trzeciéj“ bogini? Zaśpiewaj ją w myśli i nastrój fantazyą -- a ja tymczasem uciekam do domu...

I wypadł hr. Edward w podskokach, nucąc roszkoszną poleczkę, a ja rozmarzony jego młodzieńczém opowiadaniem, zamykam tekę i unoszę się myślą w te błogie czasy, kiedy to i my, drogi Władziu, w podobném usposobieniu wracaliśmy z wieczorów.

A rivederci!

Toujours le Même.

Szarada.

Pierwsze trzecie w człowieku, w zwierzęciu, w roślinie,
Ale także we flaszkach mają gospodynie,
Drugie na bożym świecie wiele złego broi.
Wszystek zaś w rzędzie wielkich ludzi stoi.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 6: ***Eugenia.***)

Korespondencye Redakcyi.

Panu X. X. na prowincyi: Nie możemy częściéj jak raz w miesiąc o teatrze mówić, a tém bardziéj o przedstawieniach co tydzień Publiczności donosić. Stósując się jednak do życzenia, przesyłamy mu wiadomość, że do najciekawszych w tym miesiącu przedstawień należeć będzie przedstawienie na benefis pp. Dobrzańskiego i Zboińskiego, arcydzieła Calderona Lekarz swojego honoru. Odbędzie się ono 19 bm. w sobotę. — Panu I. M. w Berlinie: Przypominamy się jego pamięci i o adres upraszamy. — Panu X. X. z pod Środy: Dziękujemy! — Panu F. Ł. w Inowrocławiu: Manuskryptów niezwracamy, bo by nam to zbyt wiele ambarasu uczyniło. — Panu L. W. pod Kościanem: Ma Pan przegląd w bieżącym numerze. Opóźnienie nie z naszéj winy.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Spółki. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel.)